

Kreatywna szczerść Bobkowskiego. Rozmowa z Maciejem Nowakiem

Nie był to duch, który szczególnie przywiązywał się to jakiegoś miejsca. Może miało na to wpływ jego dzieciństwo, te permanentne przenosiny, nie zakorzenił się w żadnym krajobrazie, choć zachwycał się Francją, Paryżem, Nowym Jorkiem, no i gwatemalskimi wulkanami, które są najbardziej charakterystycznym elementem tamtego kraju – mówi Maciej Nowak w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: „Bobkowski. Szkice z wolności”.

Mikołaj Rajkowski: Sylwetka Andrzeja Bobkowskiego, utrwalona w naszej pamięci, jest w dużej mierze dziełem samego Bobkowskiego, niejako napisał ją sam. Jaka relacja zachodzi między tym Bobkowskim z kart *Szkiców piórkiem* i innych pism, a Bobkowskim ze źródeł i relacji świadków?

Maciej Nowak (historyk literatury, biograf i znawca twórczości Andrzeja Bobkowskiego): Każdy biograf staje przed zadaniem skonfrontowania źródeł i relacji z informacjami autobiograficznymi, w szczególności jeśli bohaterem jest pisarz. W przypadku Andrzeja Bobkowskiego jest to rzeczywiście szczególnie istotne, ponieważ jego najważniejsze dzieło, czyli *Szkice piórkiem*, zostały opublikowane jako dziennik i najczęściej odczytywane bywa jako dokument. Sylwetka Bobkowskiego, która się nam utrwaliła, w dużej mierze opiera się na tym, jak on sam siebie przedstawia właśnie w tej książce. Okazuje się

jednak, że *Szkice piórkiem* w formie, w jakiej je znamy, nie są wcale pisanym na bieżąco dziennikiem! Pierwszy krok do odtworzenia procesu powstawania tej książki zrobił prof. Maciej Urbanowski, który porównywał kolejne wersje *Szkiców piórkiem*, które ukazały się zaraz po wojnie z wydaniem książkowym. Nie miał wówczas dostępu do rękopisów, ale doszedł już wtedy do wielu ciekawych wniosków. Lektura rękopisu dziennika zmieniła jednak wszystko. Tu palma pierwszeństwa należy do Łukasza Mikołajewskiego, który pojechał do Nowego Jorku i porównał rękopis *Dziennika wojennego ze Szkicami piórkiem*. Okazuje się, że dziennik Bobkowskiego, w odróżnieniu od, na przykład, *Dziennika Marii Dąbrowskiej*, nie był pisany z dnia na dzień. Szczególnie pierwsza część – ewakuacja z Paryża, później wakacje w Carcassonne i Narbonne-Plage, została przez niego zredagowana dopiero jesienią 1940 roku, czyli po powrocie do Paryża. Mamy do czynienia z dystansem autobiograficznym, z autokreacją. W rękopisie dziennika panuje swoisty epicki czas przeszły. Nie ma w nim tych wtargnięć codzienności: „jestem zmęczony”, „weszła Basia”. Z rzadka pojawia się to w późniejszych zeszytach – ocalało ich łącznie dziewięć.

Jak ten obraz rozszerza korespondencja?

Bobkowski pozostawił po sobie ogromną liczbę listów. Zaczął pisać je jako młody człowiek, a właściwie jako dziecko, ponieważ rodzice oddali go na wychowanie do ciotki i babci w Krakowie. List był naturalnym sposobem komunikacji z kręgiem osób najbliższych. Co szczególnie może być dla nas interesujące, zachował się także dziennik z tego samego okresu. Możemy dzięki temu porównać, jak opisuje te same wydarzenia, jak w listach dostosowuje narrację do rodziców, jak różnicuje i filtruje fakty. Okazuje się, że Bobkowski już na bardzo wczesnym etapie wykształcił w sobie zdolność do ukrywania własnego,

głębokiego ja, że on w sposób naturalny wytwarzał pewne swoje kreacje. Zatem lektura listów uczy nas dystansu do wypowiedzi Bobkowskiego, uwrażliwia na jego – nazwijmy to tak – kreatywne podejście do kategorii szczerości.

Czy te retusze w *Szkicach piórkiem* dotyczą innych postaci niż autor?

O, tak. W *Szkicach piórkiem* znika niemal zupełnie postać Roberta Lisickiego, współpracownika z fabryki w Châtillon. W rękopisie to jest postać bardzo ważna, to z nim konsultuje różne pomysły na tę ucieczkę, bo było ich kilka – chciał się przedostać do Wojska Polskiego, do Anglii, potem chciał się przedostać do Afryki, planował kupno łodzi. W *Szkicach piórkiem* towarzyszy mu tylko Tadeusz Wylot, „Tadzio”, podczas gdy był z nimi jeszcze jeden robotnik, raczej nieciekawych typ, którego oni chcieli się pozbyć z Robertem. Inaczej się układają relacje między nimi, w rękopisie widać wyraźnie, że Lisicki i Bobkowski są inteligentami, którzy chcą się po prostu pozbyć tych robotników, ale Tadeusz nie daje się spławić i towarzyszy im dalej. W te relacje wpisany jest rodzaj naturalnego napięcia, przecież z jednej strony mamy syna generała brygady, faceta, który skończył prestiżową uczelnię ekonomiczną (SGH), w notesie miał prywatny numer telefonu do marszałka Rydza Śmigłego, a z drugiej szofer warszawskich autobusów PKP.

***Szkice piórkiem*, w kształcie, w jakim je znamy, są efektem starannego opracowania literackiego...**

Tak, chociaż można spojrzeć na to nieco inaczej. W pewnym sensie na pytanie, co Bobkowski zmienił w *Szkicach piórkiem* mógłbym odpowiedzieć, że nie zmienił niczego. A to dlatego, że on w czasie wojny nie pisał *Szkiców piórkiem*! Prowadził prywatny dziennik. Dopiero potem tę część, którą uważał za atrakcyjną dla czytelnika, przepisał i wysłał do Krakowa w postaci takiego zeszytu, któremu nadał już tytuł *Stary kalendarz, albo Szkice piórkiem*. Myślał więc już wtedy o czytelniku, ale nie planował publikować wszystkiego, nie planował wydawania książki. W dzienniku wojennym opowiada o swoich problemach małżeńskich: kiedy wrócił po tej ewakuacji z południa do Paryża, zastał Basię w ciężkim stanie emocjonalnym. Pamiętajmy, że oni byli świeżo po ślubie, to nie było stare małżeństwo, oni się cały czas docierali. To wszystko również zniknęło. Ze *Szkiców piórkiem* nie dowiemy się nawet, jak ta Basia właściwie wyglądała. Kazimierz Wierzyński później zauważył, że jest jakby postacią literacką.

Badania rękopisów ujawniły też szokująco antysemityczne poglądy Bobkowskiego.

Dziennik wojenny w istocie zawiera sporą dawkę bardzo negatywnych i obciążających Bobkowskiego wpisów, nieprzychylnych Żydom. Czytamy je dzisiaj z wielkim rozczarowaniem i oburzeniem, nawet biorąc pod uwagę, że w Polsce międzywojennej tymi poglądami nie odbiegał od wielu znanych intelektualistów, choćby od Jerzego Giedroycia i jego przedwojennej publicystyki. Bobkowski takie opinie po prostu przejął i powtarzał, natomiast w kontaktach bezpośrednich raczej nie można mu niczego zarzucić na tym tle, wprost przeciwnie – nic nie wskazuje na to, żeby przeszkadzały mu kontakty z osobami żydowskiego pochodzenia. Ze *Szkiców piórkiem* te wszystkie wpisy zniknęły.

Dodajmy, że na uczelni uchodził za skrajnego przeciwnika endecji, chodził na spotkania lewicowej młodzieży, podczas jednego z nich poznał Jerzego Borejszę, który po wojnie miał wydać w „Czytelniku” jego dziennik. Gdy na wiosnę 1939 roku trafił do Paryża, związał się z tygodnikiem „Świat i Polska” (podtytuł „Tygodnik Polski”), którego redaktorem naczelnym był Herman Liberman. Ten, pochodzący z żydowskiej rodziny z Drohobycza, świetny prawnik, skazany w procesie brzeskim, osiadł we Francji. Tutaj założył Ligę Obrony Praw Człowieka i Obywatela, włączył się w pomoc obrońcom republiki w Hiszpanii i prowadził działalność przeciw faszyzacji Europy. No i Bobkowski nigdy nie opublikował niczego, co miałoby charakter antysemitki. Na jego pogrzeb w Gwatemali zaprzyjaźnieni Żydzi przysłali specjalny wieniec.

Co z tego wynika dla biografii?

Przede wszystkim to, że Bobkowski, kiedy redagował *Szkice piórkem* w Gwatemali był już innym człowiekiem. Inny był też świat. Zmieniła się skala jego wartości. Na przykład, na co zwrócił uwagę Łukasz Mikołajewski, w dzienniku wojennym całkiem odmienna jest ocena kultury popularnej, między innymi jazzu. On go wówczas nie znosił! W czasie studiów był na operze jazzowej i w liście do rodziców nie pozostawił na niej suchej nitki. W wojennych zapiskach pisze, że ceni muzykę klasyczną, która kojarzy mu się z kulturą europejską, natomiast jazz jest przykładem wpływu kultury amerykańskiej, którą wówczas pogardzał. Nie był w tym oczywiście odosobniony. Na przykład Stanisław Vincenz również nie cierpiał jazzu, słyszałem nawet anegdotę, że połamał swojemu synowi płyty z amerykańskim swingiem, przywiezione z Zachodu.

W *Szkicach piórkiem* Bobkowski jazzem jest zachwycony...

Bo Bobkowski, który przepisuje w Gwatemali swój dziennik, to już jest „Bob”, który zna Stany Zjednoczone, zachwycił się nimi, poznał lepiej ich kulturę, który słucha jazzu i tańczy przy boogie-woogie. Opowiadał mi o tym w Gwatemali Fernando Quevedo, uczeń Bobkowskiego z klubu aeromodelistów. Dlatego można wręcz odnieść wrażenie, że w zeszytach wojennych Bobkowski jest starszy niż w *Szkicach piórkiem*. Jest w nich typowym Europejczykiem z lat 30., przywiązany do modernistycznego kanonu estetycznego. Pod tym względem był pod dużym wpływem matki, która była znajomą Żeromskiego, korespondowała z nim, była też bardzo blisko Juliusza Osterwy, który był wujkiem Andrzeja. Z Osterwą bardzo często się kontaktował, bywał gościem w Reducie, przyglądał się próbom np. *Pierścienia Wielkiej Damy* Norwida. Określiłbym to jako modernistyczny, europejski kanon estetyczny z lekkim być może lewicowym, takim społecznym, nastawionym na działanie wychyleniem. Taki jest Bobkowski z dziennika wojennego. Natomiast Bobkowski ze *Szkiców piórkiem* to już jest Bobkowski, który zobaczył Stany Zjednoczone, czyta angielskich pisarzy, zarzuca kanon literatury francuskiej i ewidentnie orientuje się na Anglosasów. Kiedy czytamy *Szkice*, mamy przed oczyma obraz zdrowego młodego mężczyzny, silnego, świetnie pływającego, pokonującego rowerem alpejskie przełęcze... takiego, powiedzmy, amerykańskiego chłopaka z college’u, w którym przywiązuje się wielkie znaczenie do kondycji fizycznej i umiejętności sportowych.

Czyżby i to było efektem późniejszego retuszu?

Retuszu... Nazwijmy to uszpólnianiem obrazu... Z listów i moich badań wynika, że był to człowiek bardzo chorowity. Cierpiał na różne dolegliwości górnych dróg oddechowych, w okresie studiów cierpiał na liczne problemy gastryczne. Praca na Śląsku też mu nie służyła.

Andrzej Bobkowski urodził się w Wiener Neustadt w 1913 r., a więc przyszedł na świat w ostatnich latach istnienia imperium Habsburgów. Później Polska, Francja, Gwatemala... Z którym z tych miejsc czuł się najbardziej związany?

Zacznę od anegdoty: kiedy Bobkowski wyrabiał dokumenty w Gwatemali, próbował wytłumaczyć urzędnikom, że urodził się w Wiener Neustadt, ale jest Polakiem, ci więc wpisali w rubryce: „Wiener Neustadt, Polonia”. Stwierdził, że tym samym Polska wzięła Wiener Neustadt w zabór. Bobkowski przynależał do paru miejsc. On nie za bardzo pamiętał swoje miejsce urodzenia, bo był po prostu jeszcze całkiem małym chłopcem, gdy je opuścił. Jego pierwsze wspomnienia wiążą się z Tomaszowem Lubelskim, gdzie jego ojciec został z ramienia wojska administratorem tamtego rejonu po przesunięciu się frontu na wschód. Później mieszkał w Warszawie, następnie zmieniał miejsca pobytu w rytm kolejnych przeniesień ojca. Mieszkali w Wilnie, Lidzie, Toruniu, a następnie w Modlinie. Kiedy zaś poszedł do gimnazjum, rodzice zdecydowali, żeby odesłać go do Krakowa i tam mieszkał przez kilka lat, zanim wrócił do Warszawy na studia. W ich zakończeniu przeniósł się do Katowic, w których mieszkał pod różnymi adresami, a z Katowic musiał uciekać do Paryża. Nie uważał się jednak ani za krakusa, ani warszawiaka. Chociaż jako gimnazjalista narzekał na Kraków i jego prowincjonalną atmosferę, to kiedy trafił do Warszawy, nagle odżył w nim sentyment do Galicji – twierdził, że to była jednak

cywilizacja, a Warszawa to praktycznie Azja. Było w tym oczywiście trochę żartu, na przykład, gdy chwalił przestępstwa krakowskie, jakoby dużo lepszej jakości niż te popełniane w Warszawie. Czasami w jego korespondencji widać też, że sobie troszeczkę podkpiwa z tego pohabsburskiego dziedzictwa. Zdarzało mu się mówić, że coś jest lub nie jest „jak za Franciszka Józefa”. Zapewne podczas odwiedzin u Józefa Wittlina, kiedy trafiał na Bronx, odczuwał pewien rodzaj duchowego pokrewieństwa w związku z pamięcią o dawnej Galicji, obyczajach, klimacie. Niemniej Bobkowski odnosił się do tego typu rzeczy z pewnym dystansem, ironią. Nie był to duch, który szczególnie przywiązywał się to jakiegoś miejsca. Może miało na to wpływ jego dzieciństwo, te permanentne przenosiny, nie zakorzenił się w żadnym krajobrazie, choć zachwycił się Francją, Paryżem, Nowym Jorkiem, no i gwatemalskimi wulkanami, które są najbardziej charakterystycznym elementem tamtego kraju. W którymś z listów nazwał siebie ogrodową flancą...

Czy z biegiem lat na emigracji nie odżyły w nim jednak sentymenty?

Pod koniec życia rzeczywiście dokonuje takiej wielkiej summy, ale dotyczyło to raczej domu rodzinnego. W liście do Kazimierza Wierzyńskiego, kiedy był już ciężko chory, pisze, że jego matka i ojciec to były dwa światy i dwie cywilizacje. Dom, w którym się wychowywał, rzeczywiście był pełen skrajności. Mówi się czasem, że jego małżeństwo z Barbarą mogło mieć charakter pewnego mezaliansu – ale co w takim razie powiedzieć o małżeństwie jego rodziców! Jego ojciec był ze skromnej rodziny, a jego matka wywodziła się z ziemiaństwa. Oczywiście, oboje otrzymali świetne wykształcenie, ale Stanisława Malinowska pochodziła z rodziny ziemian podwileńskich, zamożnych,

z otwartymi umysłami, podróżujących po całej Europie. Skończyła pensję w Warszawie, dla podniesienia znajomości języków została posłana do Belgii do sióstr urszulanek, zwiedziła całą Europę, wielkie malarstwo podziwiała nie z reprodukcji, ale w galeriach. Malinowscy utrzymywali kontakty w Wilnie z Rydzem-Śmigłym, wspominałem już o Juliuszu Osterwie. Była jeszcze jedna ważna różnica. Malinowscy byli katolikami, a Bobkowscy protestantami. U Malinowskich mówiło się po polsku, trochę pewnie po litewsku i po francusku, a u Bobkowskich po polsku i po niemiecku. Kiedy Andrzej trafił do Krakowa do rodziny od strony ojca, do babki Marii i do ciotki Wandy, spotkał się bardzo blisko z obyczajowością protestancką. Bardzo narzekał na przykład, że nie obchodzi się u nich zwyczajem obdarowywania dzieci 6 grudnia. Żalił się na to rodzicom oraz na pewną surowość w wychowaniu. Z drugiej strony, kiedy zbierał na radioodbiornik, który chciał sobie kupić, to babka te zaoszczędzone pieniądze oddała do banku na procent. Podręcznikowa lekcja protestanckiego kapitalizmu, prawie jak u Maksa Webera. (śmiech)

Ważnym aspektem z tym związanym jest stosunek Bobkowskiego do nowoczesności. Tytuł jednej z Pańskich książek: *Inaczej przeżyta nowoczesność* sytuuje tę kwestię niejako w centrum. Na czym polega ta inna nowoczesność u Bobkowskiego?

Odpowiedź możemy znaleźć w jego biografii. Jego życiorys dawał mu możliwość doświadczenia różnych stron tej nowoczesności. Jak już wspominałem, rodzice Bobkowskiego reprezentowali różne tradycje, co nie było dla niego wcale takie łatwe. Kształtowanie własnej tożsamości było naznaczone przez zmaganie z tymi tradycjami. Nowoczesność miała dla niego wielki urok, wręcz zachwyił się ekonomią. Powiedział ojcu, że on absolutnie nie chce mieć nic wspólnego z uniwersytetem i

klasycznym wykształceniem – a pamiętajmy, że kończył jedno z najlepszych gimnazjów klasycznych w Krakowie, biegle władał starożytną greką i czytał Homera w oryginale. Wspomina o tym w korespondencji z Herlingiem-Grudzińskim, kiedy przygotowywał *Nekyję* do pierwszego numeru „Kultury”. Tymczasem postanowił odebrać nowoczesne wykształcenie ekonomiczne, w warszawskiej SGH szczególnie podziwiał Edwarda Lipińskiego, który uważany był za postępowego ekonomistę. Co nie znaczy, że przestała interesować go kultura – wprost przeciwnie. Chodził do teatru namiętnie, znał teatr nowoczesny Osterwy, oglądał wiele spektakli. Jednocześnie fascynował się techniką, ówczesnymi nowymi mediami – radiem, telefonem. Śledził postępy techniki filmowej – jako gimnazjalista zachęcał rodziców, aby koniecznie zobaczyli *Metropolis* Fritza Langa. Także w Gwatemali czymś ogromnie dla niego ważnym było kupienie sobie samochodu. Oczywiście w zakresie wiedzy na temat lotnictwa jego wiedza była ponadprzeciętna. I tak to właśnie już z nim było: z jednej strony ciągle jest czynny, powodowany chęcią dorobienia się, zdobywania kompetencji technicznych, a z drugiej strony nawet jako urzędnik Syndykatu Hut przesiaduje nieustannie w teatrze, grywa Chopina, kupuje nowości wydawnicze. To rozdwojenie widoczne jest oczywiście także w jego pismach. W wojennym dzienniku na przykład z jednej strony odrzuca hasło domu jako maszyny do mieszkania Le Corbusiera, a z drugiej strony docenia pewne techniczno-przemysłowe osiągnięcia Związku Radzieckiego, ze wstrętem odrzuca amerykański swing, ale w zachwyty wprawiają go niemieckie czołgi („tygrysy”). Wszystko się u niego naturalnie przeplata, nie czuć w tym niekonsekwencji. W czasie wojny robił interesy na czarnym rynku, w czym pomagał mu Tadeusz Wylot, który krążył między Paryżem a Mińskiem Mazowieckim i Warszawą. W tym samym czasie krąży po antykwariatach i szuka rzadkich wydań książek. Kupuje sobie cały komplet korespondencji Flauberta i ją przekłada w swoim dzienniku. Po wojnie jego sytuacja jednak się zmienia.

Jego sytuacja jako emigranta?

Pamiętajmy, że Bobkowski nie przybył do Francji z falą uchodźców po wrześniu 1939 roku, lecz mieszkał w niej już od marca jako uciekinier z ogonem aferzysty, w każdym razie kto o nieustalonej pozycji czy tożsamości. Z drugiej strony jest bratankiem wiceministra komunikacji i zięcia prezydenta Mościckiego, dlatego był uważany za związanego z Sanacją, ostro zwalczaną, jak pamiętamy, przez zwolenników Sikorskiego i jego samego. Kiedy wojna się kończy we Francji, Amerykanie wkraczają do Paryża, Bobkowski otrzymuje propozycję pracy w ambasadzie, którą jednak odrzuca. Zamiast tego podejmuje udaną próbę rewitalizacji Księgarni Polskiej przy Boulevard Saint-Germain 123, która zresztą do tej pory funkcjonuje. Nareszcie ma okazję połączyć swoje przedsiębiorcze zdolności z literackimi zainteresowaniami. Człowiek, który do tej pory konsekwentnie dystansował się od angażowania się w sprawy publiczne, wychodzi z kokonu „prywatności” i rzuca się w wir pracy społecznej. Zostawia handel na czarnym rynku, chociaż to właśnie wtedy, po wojnie, ten rynek stał się naprawdę atrakcyjny i można było nieźle zarobić. Zmierzam jednak do tego, że to właśnie wtedy Bobkowski staje się naprawdę emigrantem politycznym. Do tej pory był po prostu uciekinierem.

Niedługo później opuszcza jednak Paryż. Dlaczego?

W prace Księgarni pod koniec 1944 roku zaczął ingerować Londyn. Pojawia się w niej Stanisław Lam, z którym Bobkowski zupełnie nie mógł się dogadać. W dramatycznych okolicznościach rezygnuje z jej

prowadzenia, a rozwinął ją znakomicie pod względem finansowym, osobiście kupował książki, prowadził całą buchalterię. Potem pracuje przez jakiś czas w YMCA i zaczyna publikować. Poznaje Józefa Czapskiego, Jerzego Giedroycia i Jerzego Stempowskiego, angażuje się w działalność Instytutu Literackiego. Jednocześnie sporo publikuje w Polsce, nawiązuje przyjaźń z Jarosławem Iwaszkiewiczem. Spotyka się i dyskutuje z Mieczysławem Grydzewskim, Janem Parandowskim, Gustawem Herlingiem-Grudzińskim. Szybko zostaje doceniony w kraju. Zachwycony jego tekstami w „Twórczości” był Julian Tuwim, słowa uznania mieli dla niego także między innymi Wiktor Weintraub, Kazimierz Wyka i Maria Dąbrowska. Bobkowskiego na pewno to cieszyło, ale w tym momencie bardziej potrzebna była mu stabilizacja materialna niż uznanie czytelników jego prozy.

Czy z tego powodu zdecydował się na dalszą emigrację?

Niestety, uznał, że w Paryżu nie dało się dalej normalnie żyć. Wie Pan, on w pewnym momencie swego życia zrozumiał, że potrzebuje równowagi dwóch sfer – kultury i – nawijamy to tak – bezpieczeństwa socjalnego. Życie nad Sekwaną dawało sporo satysfakcji w tej pierwszej sferze, ale coraz mniej w tej drugiej. Przeprowadzona w lutym 1948 roku dewaluacja franka przechyliła szalę i powziął decyzję o ewakuacji z Europy. Jednak decyzji o wyjeździe nie podejmuje z dnia na dzień. Pomijam to, że już w dzienniku wojennym pojawiają się plany wyjazdu do Ameryki Południowej. Na wiosnę 1948 zdobył pożyczkę z IRO na bilet na podróż morską i dość starannie się do niej przygotował. Wrażenie szybko podjętej decyzji wzięło się stąd, że faktycznie późno podzielił się tą informacją z bliskimi. Chyba najwcześniej o tym wyjeździe napisał Iwaszkiewiczowi, wcześniej nawet niż matce. Na koniec ogłosił ją przyjaciółom z Maisons-Laffitte. W Gwatemali

powitała Bobkowskich przyjaciółka żony, której pomogli w czasie wojny ukrywać się w Paryżu. Dzięki niej i jej mężowi dostali wizę gwatemalską. Nie zmienia to faktu, że nie było to całkiem miękkie lądowanie. Bobkowski musi właściwie zacząć wszystko od początku. Tak naprawdę był to jeden z najgorszych okresów w jego życiu. Tym bardziej zdumiewające jest to, że nawet wtedy nie porzuca pisania. To go w pewnym sensie podtrzymuje przy życiu. Parę lat walczy o przetrwanie, o stabilizację materialną, ale trzyma się pisania, aby nie ulec dezintegracji. Wychodzi na prostą, osiąga tę swoją wymarzoną równowagę około roku 1954.

Z Maciejem Nowakiem rozmawiał Mikołaj Rajkowski.

Dr hab. Maciej Nowak, adiunkt w Ośrodku Badań nad Literaturą KUL, autor wielu artykułów i dwóch książek poświęconych Andrzejowi Bobkowskiemu. Na sto dziesiątą rocznicę urodzin pisarza przygotowuje jego obszerną biografię.

Współpraca redakcyjna: Mateusz Wąsowski, Kinga Zając, Antoni Pluta

Fot. Polona.pl, fotograf nieznany